Nro 13.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 17 czerwca 1847. Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 3 czerwca 1847.

Stroje damskie. Najmodniejsze całkowite stroje od wyjścia są następujące: Suknia z zielonego bareżu, obszyta dwoma tak szerokiemi falbanami, że dwie trzecie części sukni zakrywają, z wysoko zachodzącym stanikiem i z gładkiemi rękawami; płaszczyk z białej kitajki, małoco niżej pasa zachodzący, na ramionach zszywany, czworobocznie ścięty, i wkoło kitajkową w ząbki wycinaną szlarką obszyty; ryżowy kapelusz różową kitajką podszyty, bukietem róż ubrany.

Suknia z popielatej kitajki krepinami ubrana; stanik gładki, wysoko zachodzący, podobnie jak spodnica ubrany; peleryna dochodząca tylko do połowy pleców, na ramionach rozcięta a z przodu zaokrąglona; rękawy półdługie; z różowej krepy kapelusz, ubrany bukietem z róż i całkiem korunką angielską pokryty. Suknia muszlinowa w kolorowe kwiaty, dwoma szerokiemi falbanami obszyta, z marszczonym stanikiem i półdługiemi rękawami; płaszczyk z materii w pasy; różowy krepowy kapelusz, bukietami lilij ubrany. Suknia popielata z chilijskiego płócienka, krepinami obszyta; z gładkim bez paska stanikiem i z gładkiemi rękawami; płaszczyk z zielonej kitajki, do połowy spodnicy dochodzący, z dużą peleryną, trzy razy czarną korunką obszytą; kapelusz z liliowych z białemi brzegami wstążek.

Stroje męskie. Dzisiaj przecie można coś stanowczego o modzie powiedzieć; najgłówniejszą rzeczą jest to, że fraki przed każdą inną suknią będą mieć pierwszeństwo, i że stany zbyt długie nie należą już do dobrego tonu. Spodnie nosić będą obcisłe, ze szwami mało na przód wystającemi. Materie w duże kraty są bardzo używane.

Rycina przedstawia: Suknię materialną szamową z przodu białemi korunkami ubraną, z błękitnemi wstążkami; stanik gładki, bardzo wysoko zachodzący, korunką ubrany, rękawy gładkie; biała krepowa kapotka z długiem białem piórem i różowemi pod spodem wstążkami.

Czepeczek korunkowy, z przodu dwoma rzędami korunek obszyty i ubrany wstążkami szamownego koloru i axamitkami fioletowego koloru.

Czepeczek tiulowy z bardzo małem denkiem, z przodu dwoma rzędami bardzo szerokiej korunki obszyty i fontaziami z różowej wstążki ubrany.

Czepeczek z angielskiej korunki, zrobiony z trzech szlarek szerokich jedna na drugą spadających, i różową szeroką wstążką ubrany.

Czepeczek na rano z haftowanego szydełkiem muszlinu, z marszczonem denkiem, wstążką kraciastą ubrany; wreszcie amazonka mająca strój wierzchni, z prostym i bez kołnierza stanikiem. Rękawy są gładkie z szerokiemi epoletami; spodnica powinna być bardzo szeroka.

Rycina męska przedstawia: rajtfrak ze stanem półdługim.

SALON I ULICA.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Białe i czarne chwile życia.

Czas tymczasem ni łzą ni smutkiem niewstrzymany uchodził pomału, i wiosna nadeszła, wiosna zawsze świeża, zawsze pełna uroku, czy swem

tchnieniem ożywi wiejską przyrodę, czyli nową wonią swego oddechu oczyści ciężkie powietrze brudnych ulic miasta. Przyjście tej młodej pocieszycielki po tylomiesięcznej żałobie zimowej, jest najpożądańsze dla ubogich przedmieść, nie dla romantycznych, ale zupełnie rzeczywistych przyczyn; bo cieplejsze słońce zastępuje biednemu ludowi miejsce drogiego opału zimowego, bo dłuższe dnie dają mu więcej czasu do roboty, a umniejszają potrzebę owego oświetlenia wieczornego, które jakkolwiek ciemne, kopcące i smrodliwe, drogo kosztuje jednakże po przedmiejskich sklepikach przedających towary swoje najgorsze, a przecie kosztowniejsze od najlepszych, bo już z trzeciej ręki pochodzące. Ale prócz tego ubogi z pracy żyjący syn ludu nie ma często gotówki, a więc żyć musi kredytem, a kredyt, moje państwo, tłumaczy się na prawdę lichwą lub zastawem. Ileżto razy w głębi sklepiku przedmiejskiego możnaby ujrzyć wiszący jakiś łachman odzieży, jeżeli nie narzędzie nawet jakiego rzemiosła, które biedny rzemieślnik tam zastawił za suchy kawał chleba, wiązankę drzewa, lub smutną łojówkę.

A jeżeli głodem, nędzą, lichwą zmęczony biedak, wszystko zastawiwszy z siebie i z warsztatu, przez dłużników i jęki a narzekania rodziny wypędzony z domu, do rospaczy przywiedziony, rozwałęsa się i rozpije, a upiwszy się w chwili szału i rospaczy burdę jaką popełni, jaki zewsząd krzyk i klątwa na niego!

Za pozwoleniem, a robić długi na zbytkowe zachcenia, i nie płacić je, choćby wierzyciele mieli z głodu umierać; a zgrabnemi palcami wyrzuciwszy kilkanaście przejść diabełkowych, wyszlamować cudze kieszenie, a gdy się już wszystko przedało, i włości, i srebra, i dobytki wszelkie, by dogodzić kapryśnym zachceniom, przedać nareszcie i dobre imię, i cnotę żony lub córki, i honor własny, i duszę, i ciało; cożby o tych zanadto często trafiających się zdarzeniach sądzić należało? jakieby im nazwy nadać należało?.... Owoż czy nie lepiej byłoby mniej krzycząc na ten lud biedny, więcej zaglądać w środki poprawienia jego losu, podniesienia jego oświaty, i zbliżyć się raz do tych biedniejszych, głupszych może, ale zawsze braci!....

Lecz wróćmy do powieści i do wiosny.

I wszystkie przedmiejskie pootwierały się okna, by wpuścić to ożywcze powietrze, a wypędzić ową zgniłą zaduchę nędzy i ubóstwa, która w ściśnionych ludu pomieszkaniach truje go, rzec można, fizycznie i moralnie. I wraz z wiośnianem powietrzem, wraz z wiośnianą zielonością, którą lud lubi umajać ubogie chaty swoje, zdawało się wschodzić do nich i wiośniana nadzieja, i rozlewała po twarzach wychudłych i wynędzniałych swą barwę weselszą. Bo lud prosty bliższy jest przyrody od świata oświeconego, któremu przyroda kulisowa zastępuje miejsce prawdziwej; lud rozumie przyrodę, ma dla niej otwarte zawsze zmysły i czucie; toteż na wiosnę to powietrze ożywcze z strzelających wymyka się pączków, i jego biedny umysł ludzi nadzieją odrodzenia....

Aleć i w salonach ruch nowy wywołała wiosna, nie ruch uczuć i myśli witających tę najcudowniejszą porę roku. O nie! dla salonów pory roku są obojętne, a przyroda dla nich niema, mianowicie ojczysta, dla której nie mają oczów ni w ciele ni w duszy. Jeszcze przyroda zagraniczna, w szybkim przelocie podróży zajrzana, ma niejakie dla nich znaczenie, jakby nowa opera, którą jużciż słyszeć trzeba, nowy romans francuzki, którego choćby tytuł, początek i koniec przeczytać trzeba, by o tem wszystkiem pogwarzyć przecie powierzchowną pogadanką. Aby rozmowę z siebie wydobyć, trzeba na to myśleć, zastanawiać się i wejść w siebie, a myśleć nudno, zastanawiać się trudno, a wejść w siebie niebezpiecznie. Owoż ruch, do którego wiosna pobudza salony zwykle, jest ruch ściśle krawiecki, lub też by przyzwoitszego dla godności salonowej użyć słowa, ruch mody. Jużciż przyznać trzeba, że mimo całej jenialności właściwej modnym paniom i panom, zima, mianowicie nasza tak długa, wyczerpała wszystkie koncepta, jakie tylko można było z futer, piór, axamitów i ciężkich wydobyć jedwabiów. Moda zimowa już w końcu musi się przeżyć. Lecz moda nie ginie; jak fenix nieśmiertelny, z łona zarzuconych już strojów ciężkich powstaje młodsza, żywsza, barwniejsza, w kwiaty, wstążki, słomki i tęczowe tkanki lekszych materij strojna.

Toteż proszę jeno pojść ze mną na publiczne przechadzki, ściśnione wpośród miasta; zasypane są rojem postrojonych motyli modnych. W chwile zwyczajem uświęcone wylatują i tłumnie przemykają koło siebie panowie i panie. W grona koterijne podzieleni przynoszą na te uprzywilejowane przechadzki swoje, wszystkie sobie właściwe wrażenia, wszystkie śmieszne i drobne swe upodobania i zawiście. I całe ich życie powierzchowne, lekko nacieniowane, strzela z tych wszystkich spojrzeń, które z taką ścisłością matematyczną umieją oceniać przemykające współzawodniczek stroje. Całe to życie lekkie, skaczące i ogładzone, przemawia ze wszystkich pogadanek muskających powierzchownią każdego przedmiotu, któ-

re głośno i wesoło brzmią z jednego końca do drugiego końca publicznej przechadzki.

Bo życie salonowych złożone z samych chwil jasnych i wesołych; wszystkie białe chwile żywota ludzkiego dostały im się w podziele. Im brakuje czasu na troski zwyczajne życia, które nie przechodzą granicy przedpokojowej, a naprzeciw nadzwyczajnym zdarzeniom mają oni tarcze nieprzebite przez właściwą sobie miekką niedbałość!

Grono za gronem przemyka po przechadzce, a w nich postrzeglibyśmy wszystkie znajome już nam figury, bądź z salonu pana Karlińskiego, bądź też z salonu pani Raińskiej i z owego historycznego śniadania pojedynkowego.

Pan Alfred obok panny Kamilli otoczony mnóstwem odsadzonych zalotników, dumne rzuca wokoło spojrzenia; czyliż bowiem nie ma powodu być dumnym, jeżeli nie z wdzięków swojej narzeczonej, to przynajmniej z posagu dwumilionowego, ku któremu wszystkich przechodzących wznoszą się spojrzenia, pełne gorącej żądzy.

Bo dwa miliony uosobione, czy w Kamili pełnej wdzięków i powabu, czyli nawet w najpotworniejszej postaci, wzbudzają urok niepospolity. Żaden geniusz, żadna wyższość umysłowa, najpożyteczniejszy dla ludzkości wynalazek wzbudzić go nie potrafi.

Toteż odsadzeni adoratorowie, chociaż wszelkiej pozbawieni nadziei, przysuwają się mimowolnie do grona, w którem błyszczy panna Kamilla, by choć otrzeć się o atmosferę dwu milionów, choćby poszczycić się jej ukłonem, rozmową z panią Raińską, z panną L'oison, a nawet z faworytem szpiclem, który kapryśnie odszczekuje się na wszystkie uprzedzenia zgrai wielbicieli.

I przeszedł koło nich Władysław. Jego twarz poważna, wzrok pełen lekceważenia, jaki rzucił na ten rój motyli, jest jakby jedną nicią czarną na tej jasnobarwnej tkance, rozciągnionej przez całą przestrzeń przechadzki. A każde jego spojrzenie pogardliwe, rzucone na Kamillę przy każdem zdybaniu się, to w jej życiu wesołem czarna chwila, która mimowolnie cieniem zasępi wesołą jej twarz. To czarna chwila w życiu tych lekkogłowych paniczów, którzy mimowolnie spuszczają oczy w dół i darmo osłaniają się szyderczym uśmiechem. Nie wystarcza im przecie, by pokryć to przekonanie niższości, które kipi w nich złością. Oko w oko nie mają naprzeciw jego zimnej postawie należytej odwagi, ale za to poza oczy zuchy niepospolite sypią nań swój dowcip, rzucają całe błoto najbrudniejszej obmowy. Broń to im najmilsza, broń najłatwiejsza!...

— I nie ukłonił się nawet! przemówił półgłosem Alfred, który nieraz uważał to wrażenie, jakie wzbudziło w Kamilli zdybanie Władysława, i któremu nieraz po głowie kręciły się rozmaite przez przyjaciół powiedziane słowa.

— Komu? zapytała naiwnie Kamilla.

— Wszak był podobno najbliższym sąsiadem Żyliniec.

— Równe prawo do ukłonu mógłbyś mieć i pan, w którego domu widziałam pana Żyleckiego.

— Nie dbam o jego ukłon....

— A jeżeli jest w tem uchybienie jakie, pan jako mężczyzna, prędzej mógłbyś się ująć, niżeli ja kobieta.

— Czyliż taki jak on.... może uchybić?.... jakiś tam pokątny literat, którego nie wiem dla czego mój ojciec przypuszczał do salonu swego.... ale dawna jego z dziecinnych lat jeszcze znajomość z panią, powinnaby....

— Czy panu Alfredowi, odpowiedziała Kamilla z przyciskiem i widocznym niesmakiem; tak mało zależy na przyszłości, byś koniecznie chciał mnie bawić rozmową o przeszłości.

Pan Alfred zapomniał języka w gębie.

— Już nie pierwszy raz napada cię panie Alfredzie, chętka wypytywania się mnie o pana Władysława Żyleckiego, który, jak sam przyznajesz, jest *un homme de rien*.... czemże miał być dla mnie? jużciż, bym go za męża wzięła, nie masz pan prawa obawiać się.... a zresztą, dodała z uśmiechem niby wesołym, czyliż o co więcej panu iść może?....

— Kamillo!.... czy gniewasz się na mnie?.... wyrzekł jak mógł najczulej pan Alfred, który po prawdzie pojmował i oceniał słuszność uwag swojej narzeczonej.

— Jak czule rozmawiają między sobą, zagadła pani Raińska do hrabiego Pilińskiego, który ze zwykłem sobie znudzeniem postępywał w milczeniu koło niej i rozmyślał, jakby tu się wymknąć z tego towarzystwa, coby zapewne dawno już uczynił, gdyby tylko wiedział, gdzieby się można było lepiej zabawić.

— Za kilka dni ślub... cóż dziwnego?....

— Oni się tak kochają.... zagadła znowu pani Raińska z wyrazem takiej czułości, że aż mimowolnie spojrzał na nią znudzony hrabia.

— Pani się cieszysz ich związkiem, bo to pani dzieło....

— I spodziewam się, mówiła dalej z dodatkiem

lekkiego westchnienia; że będzie szczęśliwa moja kochana Kamilla, którą kocham jak....

— Jak prawdziwą córkę! przerwał hrabia, chcąc oczywiście powiedzieć grzeczność.

— Jak siostrę raczej! odpowiedziała niezmieszana Raińska, odmładniająca się codzień mnóstwem rużu i bielidła.

Zrozumiał hrabia i tem więcej zaczął się oglądać.

— Ona go tak kocha!... oby tylko zawsze znalazła równą w jego uczuciach wzajemność.... ciągnęła ciotunia dalej na ton sentymentalny nastrojona, do którego dodawała dla odmiany kilka lekkich westchnień....

Hrabia ziewnął; snać westchnienia działały nań zarówno z ziewaniem.

— Znam ją najlepiej, jej uczucia, które się pod mojem okiem rozwijały.... jej miłość jest wyłączna, bezgraniczna.... możeby nawet lepiej było powstrzymywać ją w tem uczuciowem usposobieniu, jakie się w niej zawczasu rozwijało.

— Zapewne!... zapewne!... mruczał hrabia ucierając nos, by zakryć wściekłą ochotę ziewania.

— Ale nie mogłam tego przenieść na sobie, bo w nas kobietach serce czułe jest koniecznością... my sercem żyjemy, i czułość jakkolwiek wiele nieraz przysparza zgryzot i nieszczęść, jest przecie najpiękniejszym, zawsze pełnym powabu i świeżości darem, który natura dała kobiecie....

I zapałem przedmiotu jego przejęta, rzuciła potężne westchnienie ku niebu, a spojrzenie ogniste na hrabiego, i porwawszy go za rękę, dodała z wyrazem rozczulenia na twarzy, a drzeniem tkliwem w głosie:

— Nieprawdaż panie hrabio?....

— Pani tak ślicznie o tem mówi, że najzawziętszy wróg czułości dałby się przerobić.

— Ale pan sam, czyliż nie pojmujesz?... I coraz więcej wzdychała pani Raińska.... ale nadaremnie, bo hrabia przestraszony tym napadem czułości do niego zwróconym, bez przesady, ale nagle zaczął się odwracać ku innym osobom do tegoż grona należącym.

Całe więc romantyczne natchnienie pani Raińskiej, którego już nie po raz pierwszy próbowała naprzeciw hrabiego, w próżną wionęło przestrzeń.

— A przecież nie tracę nadziei, że to jest mój mąż czwarty; pomyślała w duszy.

— Diable się bierze do niego! szepnął Leander Alexandrowi do ucha.

— Chce się jej być hrabiną koniecznie.

— Trudno jej przyjdzie z naszym nudziarzem....

— Mniejsza o to.... ale patrz na naszego Alfreda.... to mi szczęśliwy człowiek....

— Kamilla jest śliczna....

— Głupstwo, ale dwa miliony!....

— I że ona wybrała Alfreda, który, między nami powiedziawszy, nie sokoł...

— Ba! to dowodzi, że ona ma milionowy rozum także... dobrze ona między nami rozważała, który najlepiej przystanie jej na męża.

— Potulnego, milczącego...

— I ślepego!....

— Cha! cha! cha!....

Tak śmieli się i rozmawiali między sobą przyjaciele Alfreda.

W tej chwili tak wesołej, tak swobodnej, tak białej, szybkim krokiem zbliżał się jakiś mężczyzna niski, krępy, młody jeszcze, którego twarz rumiana i zdrowa, rzęsistym wąsem czarnym do pół odsłoniona, iskrzyła się wyrazem zapału dziwnie sprzeczającym się z dobrodusznością rozlaną zwykle na niej. Strój na nim jakkolwiek porządny, i dbałość o siebie zdradzający, krojem swoim wygodę tylko mającym na celu, nie odpowiadał strojom kręcących się po przechadzce; toteż wszyscy ci panowie spojrzawszy obojętnie na niego, wyrazem twarz swoich, zdawali się mówić:

— To jakiś przedmieszczanin!.... zwyczajnie rzemieślnik!....

Krępy tymczasem mężczyzna o czarnym wąsie szedł ku towarzystwu naszemu wprost, ani się myślał ustępywać, jakby właśnie z niem chciał się zdybać koniecznie.

I ozwał się odgłos głuchy, jakby trzaśnięcie bicza.

Byłto policzek suty, rzęsisty, pełny, doskonale trafiony, całą dłonią przylepiony, którym nowo przybyły wąsaty przedmieszczanin obdarzył spokojnie w milionach Kamilli rozmarzonego Alfreda.

Krzyk zgrozy, przestrachu, oburzenia, zadziwienia, krzyk głośny powstał wokoło; krzyk, którego większa połowa była francuska; krzyk różnotonny pań i panów.... ale nic już nie pomógł, bo policzek został przeto niezaprzeczonym policzkiem, od którego lewa twarz Alfreda zajaśniała rumieńcem czerwieńszym od urużowania pani Raińskiej.

A ktoby jeszcze wątpił o przedmiejskim pochodzeniu wąsatego jegomości, przekonałby się na widok tego policzka. Byłto bowiem policzek prawdziwie przedmiejski, policzek uliczny, szczery, nie dla żartu zaaplikowany.

I by nie zostawić żadnej wątpliwości o chęciach swoich, wąsaty jegomość podniósł rękę, by drugim policzkiem utraktować drugą połowę bladą jeszcze twarzy pana Alfreda; lecz ten nauczony doświadczeniem umknął jeszcze w czas; i skończyło się na kapeluszu tylko, który, chociaż rodem z Paryża, i dwoch kapeluszy zwykłych mający wartość, poleciał w proch i kurzawę.

Jakkolwiek radbym państwu wytłumaczyć to zdarzenie, które tak żywo przejęło całe towarzystwo na przechadzce zebrane, nie mogę w tej chwili żadnym sposobem tego uskutecznić, musimy bowiem pierwej dla zrozumienia rzeczy zejść na znane nam przedmieście o smętarz przypierające.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

CMENTARZ W SANDOMIERZU.

Legenda. *)

W krainę słońca, do ziemi Włochów,
Którę laur stroi, a żywi ryż,
Gdzie z zwalisk Rzymu, z Cezara prochów,
Wzniósł się najwyżej Chrystusa krzyż,

Idą pielgrzymi z dalekiej ziemi;
A skoro w święty wstąpili gród,
Długiemi brody, szaty długiemi,
Dziwią ciekawy Rzymianów lud.

I otoczeni narodu ściskiem,
Do Watykanu dochodzą bron,
Który wysoko po nad mrowiskiem
Domów się wznosi, jak Boży tron.

Furtian pyta: „Zkąd wy posłowie?"
Usty mu płynie latyński miód;
„Idziemy z kraju" starszy odpowie;
„Gdzie się Sarmatów rozsiedlił lud."

„Witamy posłów ludu mężnego,
Który acz zimny zamieszkał ląd,
Gorąco kocha Chrystusa swego;
Po świecie wielką sławę ma ztąd!"

Poselnik prawi: „Ku Bożej chwale
Zbudował kościół, Zygmunt, nasz pan;
Stoją już mury na wzniosłej skale,
I znak zbawienia połyska z ścian."

„Wspaniały kościół z pańskiej szczodroty
Wysoką wieżą dosięga chmur,
Są już ołtarze cudnej roboty,
I kazalnica, do spiewu chór."

„Stoi dom Boży kuty z kamienia,
Opasan wieńcem lipowych drzew;
Lecz kapłańskiego nie ma święcenia,
Jeszcze w nim święty nie zabrzmiał spiew."

„Więc gwoli króla my do papieża
Idziem' i prośbę podnosim' wraz
O dar relikwii, lub drzazgę krzyża,
Na którym konał Zbawiciel nasz."

„Bowiem relikwią, świętości szczątkiem
Otrzyma kościoł święcenia chrzest;
Wszelkiej świętości Bóg jest początkiem,
W który dom wstąpi, w nim wiecznie jest."

Odźwierny pojął wysłańców sprawę,
W przysionku czekać rozkazał im;
W przysionku stoją posły ciekawe
Co będzie? gwarzą językiem swym.

Nie długo wszakże odźwierny bawi,
Znowu się w zwnętrzu okazał bram,
I rzecze: „Papież was błogosławi,
Przez usta moje zwiastuje wam:"

„Idźcie posłowie do Sandomierza;
Z cmentarza ziemi przynieście kosz."
Posły ten rozkaz słysząc Papieża
Idą, w karbonkę wrzuciwszy grosz.

Zaledwie drugie lato upłynie,
Wtorym zawodem do Romy świętej
Wchodzą posłowie; a niosą skrzynię,
W niej garstka ziemi, z cmentarza wziętej.

W nieszporne hymny grały organy,
Papież na złotej siedział stolicy,
W koło tłum ludu mnogo zebrany,
A w tłumie z obcej ziemi pątnicy.

Gwoli rozkazu gdy się zbliżyli
Przed złoty ojca świętego tron;
Papież przemówił: „Słuchajcie mili
Posłowie z onych dalekich stron"

„I słowo moje królowi nieście,
Mnogo relikwii ma w kraju swym,
Jest w Sandomierzu, odwiecznem mieście,
Cmentarz, relikwią ziemia jest w nim."

Chwycił garść ziemi: ziemia ściśnięta
Dłonią papieża pociekła krwią;
„To jest męczeńska, to jest krew święta,
Królowi swemu ponieście ją." *)

A. Gorczyński.

O starych obrazach wystawy lwowskiej r. 1847, przez K. Szlegla.

Wezwaniu redakcii recenzowania wystawy nie mogłem zupełnie odpowiedzieć, gdyż nie czuję się bynajmniej powołanym nietylko do nagany współzawodników, ale nawet i do zasłużonych pochwał,

*) Wedle żywota świętych Wielowiejskiego, który w powieści swojej odwołuje się do historii życia papieża.

*) W roku 1242 horda Tatarów wpadłszy do Rusi, nieodparta, niewstrzymana w swoim pędzie, przebyła Wisłę, Sandomierz został zdobyty; ogień i miecz rozniosł okropne zniszczenie; wtenczasto kilkadziesiąt zakonników i tyleż zakonnic poniosło śmierć męczeńską. Ciało tych męczenników pogrzebane zostało za miastem.

bo i tem rości sobie chwalący w nieprzyzwoitym sposobie jakąś wyższość. Tylko jako proste wyliczenie najcelniejszych, w oko wpadających płodów, nie jako recenzia lub chwalba, lecz jako podziwianie raczej, nie rzuciłyby dziwnego światła na recenzenta-artystę. Taki zaś opis nie zdoła poprzeć dążeń dziennika tego. Przy obrazach starych zaś mam wolne pole uwag, które także tam tylko orać będę, gdzie siejba będzie korzystna. Zważyć tu należy, że i bazylika świętego Piotra chwastem obrosła, a dziady skubią trawska, by czyściej jaśniało arcydzieło, które w idei było bez chwastów. Równie obraz wykonany w najlepszem świetle, a wystawiony w mniej korzystnem, traci. Przypomina mi się zabawne zdarzenie z moich podróży, które rzecz lepiej wyjaśnić może. Byłem raz zachwycony pięknem oświetleniem główki wyglądającej oknem w zupełnem promieniu słońca. Unosząc się tem, wzbudziłem w oświetlonej lecz nieoświeconej główce chęć podziwiania pożyczonych od słońca wdzięków jako swoich. Nachyliła się więc główka do zwierciadła z zapytaniem: I gdzieżto jest to piękne oświetlenie? Taktež i światło, w którem obraz wystawiony, staje się jego światłem. A że wystawa ta była na prędce urządzona, nie można więc żądać, by wszystkie obrazy wisiały w potrzebnem świetle. *Prima charitas ab ego,* dlatego salon lwowskich artystów i dyletantów ma lepsze urządzenie, z umarłymi zaś postąpiliśmy sobie mniej litościwie: wiszą wprawdzie w wyższych regionach (bo na pierwszem piętrze) ale zato każemy wpółzgasłym oczom tych cieniów patrzyć na wschód i południe, ku Mekce i Medynie, chociaż mało tam płodów natchnień pobożnych. Portrety Branickich i Augusta III. lubieżnego pęzla Bacciarellego i Mengsa, są jako własność zakładu wielom znane, dzieła szacowne artystom a drogie dziejopisom. Jak wszędzie, tak i tu dobrych rzeczy szukać trzeba. Tym sposobem na ciemnej ścianie po lewej ręce ujrzymy portret damy malowanej przez Fügera, (160) byłego dyrektora akademii wiedeńskiej. Uderza wdziękiem nieprzesady, zdradza osobę warstwy wyższej, choć bez kosztowności wszelkich, tak postawa chociaż tylko w popiersiu, stosownie pojęta. Niedbały a gustowny rzut powiewnych włosów, miękkość cieniowania, nadzwyczajny zlew kolorów przy wielkiej dokładności, zgodność tła z głową i niebieską draperią, pokazują nam, że to dzieło jest ulane raczej niźli malowane. Portret oboczny mężczyzny (139) tegož artysty, ma za mało nietak siły w kolorycie, jak dobitności.

Wyżej nad niemi widać portret jakiegoś oficera w starodawnym stroju (351). Zdaje się być pęzla Kupeckiego; z jemu właściwą wprawą malowany. Obraz ten jest własnością naszego artysty pana Jabłońskiego. Do tegož zbioru należą także owoce (357), któreby każdą galerią zdobiły. Opisywać harmonią takiego przedmiotu byłoby tak trudnem, może niepodobnem, jak opisywać zapach kwiatów lub spiew słowika. Zmysły nie pojmują nic z opowiedzenia, dlatego wdajmy się raczej z umysłem w rozmowę skreślając dwa przedmioty biblijne (310 i 311). Twórcą ich Bernardino Strozzi, zwany także Prete Genovese. Kiedy potęga weneckiej rzeczypospolitej owładnęła świat handlowy, wtargnęły się do niej przepych, gust i życie światowe, tryumfy i procesie, wybory dożów, lśniące pałace w lśniących lagunach, na nich serenady i wyścigi łodziami nobilów, bogate stroje, owe adamaszki i makaty; to wszystko było tak malowniczem, że musiał się w Wenecii przedewszystkiem obudzić u artystów zmysł malowniczości. Za Wenecią poźniej poszły inne miasta. Strozzi należy do tych kolorzystów, którzy jeszcze bardziej niż na prawdę i świetność kolorytu uważali na powab śmiałego pomiotu pęzla. Widzimy go też w obrazie przedstawiającym ś. Piotra, leczącego paralityka. Jest tu wprawa malowania do najwyższego stopnia posuniętą, lecz nie można przepomnieć, iż ta szkoła dawno za sobą zostawiła czasy wiary. Ś. Piotr tu nie jest tym apostołem, widzianym po dawniejszych jeszcze obrazach, któryby wyrazem i powagą swoją rzekł: kto we mnie wierzy, w mistrza wierzy; ale on tu po prostu mówić się zdaje: A co, prawda, że cud uczyniłem; nawet usta jego mają dziwny uśmiech zadowolenia. Paralityk ma osobliwy wyraz niedowiarstwa. Równie jenialnie malowana głowa ś. Jana w światłocieniu, ożywia swoim ruchem kompozycią. Drugi obraz tegož mistrza przedstawia nam ś. Piotra wyrzucającego Judaszowi posiadanie worka z pieniądzmi. Znowuž głowy, a szczególnie ręce po mistrzowsku oddane. Na Judaszu nie widać tyle zgryzoty sumienia, jakbyto stara szkoła oddała, ale bardziej przestrach i trwogę; po prostu myśleć się zdaje: będzieto ze mną źle. Artysta každy, który dużo malował z natury, zgodzi się zapewne ze mną, że ręka trzymająca worek w naturze jako model trzymała foliettę wina, bo i kształt i kolor, nawet i sposób trzymania na tę myśl naprowadza. W obudwu obrazach jest wielka zgoda kolorów, co szczególnie každy uczuje, ježeli wprzódy na obok wiszący portret Branickiego popatrzy. Obrazy te i za granicą miałyby mielką wartość. L. 438 jest, ile się zdaje, pęzla Padowanina. Do tego przedmiotu

(Lot z córkami) osobliwie przypada świetny i miękki pęzel weneckiej szkoły. Cokolwiek twardo malowana niebieska draperia, którą Lot okryty, byłaby gdzieindziej wadą, tutaj jest zaletą, bo podnosi miękkość woskową lubieżnego ciała córek. Rzadko znaleść obraz, w którym kolor niebieski i czerwony, był razem, a jak tu nawet wyłącznie umieszczony; zdaje się, że dzikośc tego akordu, niby kwinta malarska, przytłumia świeżość ciała, które tu byłoby może nie na swojem miejscu.

L. 410 wyobraża bitwę przez Bourgignon'a. Ma wartość taką, jako lepsze dzieło jego zwykle miewa. Ruchu jest wiele, ruina na tle bardzo ładnie malowana. Na przeciwnej ścianie widać zwierzęta Roos'a. Obrazy Roos'a w Galicii podobno jeszcze mają największą wartość, bo za granicą wykształciła się ta gałęź w nowszych czasach do najwyższego stopnia, zacząwszy od Omeganka aż do Verboukovena, którzy u nas nieznani i niewidziani, powadze Roos'a szkodzić nie mogą.

Wstąpiwszy do drugiej sali, niech się każdy nacieszy obrazem (jeżeli tylko będzie mógł dosyć nim się nacieszyć), malowanym przez Gerard'a. Nie ma na nim żadnej liczby, i podobno nie ma go też w spisie, tak jak gdyby nie chciał kazić się towarzystwem. Jestto portret znanej piękności polskiej. Znajoma to rzecz, że już gwardzista stojący strażą przed muzeum w Paryżu, nie mógł się wstrzymać od powiedzenia komplementu, że obowiązkiem jego jest czuwać, by nie znikały z muzeum piękności, czy nawet Wenera sama. Nie wiem tego dokładnie, bo nie byłem przytem; bądź jak bądź, jestto twarz bardzo wdzięczna do malowania. Ale to dzieło nietylko jest pięknym portretem, ono jest pięknym obrazem.

Ileto trzeba geniuszu, aby zlać wszystko w taką całość, by tak niekorzystnym krojem sukni wydać jeszcze tak gustownie kibić osoby, ile poetycznego talentu, by słodką melancholią, rozlaną na twarzy, zlewać niby w podniesioną powiekę i brew, która się zadziergła w wiszący kędzior włosów, jak jesienna pajęczyna się zadzierga o warkocz płaczącej brzozy. Nasza melancholiczna postać nie trzyma też lutni, jakby grała lub grać chciała, lecz od niechcenia lub z przesytu u nóg bokiem postawioną, lekko dotyka ręką, jak gdyby tylko jeden brzęk powtarzała, a może też ostatnie drganie struny wstrzymać chciała, jak ostatnie nieskuteczne lekarstwo. Patrzmy dalej na podobnie kunsztowne zwaliska zamku na górę jodłami porosłą, na chmury północnego poranku, na kwiaty w murawie, w którą prześliczne dwie nóżki (czemuż nie na zawsze dla wiecznej ozdoby) swą pięknotę wtłaczają. Przy nóżkach patrz na kapelusik ryżowy, którego od lubych wycieczek na wilę rozłączyć nie umiem; a dalej na mruczący strumień, który zdaje się wciąż tę samą skargę powtarzać, że się po skalistej drodze rozbija, o cierniste krzewy rozdziera; a donośnie słychać jego skargi, bo w obrazie taki spokój, nawet szal zmarszczony długo leżeć tak się zdaje, nie szeleści, więc posępnie słychać strumyk — o ja go słyszę, smutny kamerton tego obrazu, bo on dla mnie jest muzyką i obrazem, poezią i obrazem — rzeźbą i obrazem. Bawiłem przytym obrazie dłużej nieco uniesiony, bo zasługuje, by nie był skreślony piórem wyschłem i pogryzionem.

Jakże po takiem dziele i przy kopii podług Van Dyka, chociaż tylko kopii, odbijać musi obraz famillijny przez Podestę w Rzymie malowany. Przy damie siedzącej niby na krześle, a rzeczywiście w powietrzu, nie nad krzesłem przynajmniej, ale z boku przy krześle stoi mężczyzna oparty o krzesło. Kto koniecznie chce podziwiać ten obraz, niech stanie w końcu sali przy drzwiach, a z daleka pochwali pewnie ogólną harmonią, układ piękny, poprawność rysunku; z bliska znajdzie nawet dość ładnie malowaną głowę mężczyzny, szczególnie włosy dość prawdziwie oddane. Ale zato ucierpieć musiała płeć piękna; bo głowa tej damy malowana bez najmniejszego smaku, płeć żółto-ceglasta bez modulacii, oświecenia i wyrazu, kolor surowy, pomiot pęzla (niech mi będeie wolno użyć wyrazu w piśmiennictwie nieznanego, lecz niezastępnego) gryzmolony. Kiedy właścicielka obrazu skarzyła mi się w Rzymie, że portret jej tak źle się udał artyście, oświadczyłem, że mimo to, iż nie cieszę się wcale obcą szkodą, spodziewam się, iż dożyję tej przyjemności, że po takich zagranicznych naukach wojażerów, artyści krajowi większem zaufaniem uszczęśliwieni będą. Ale to nie tylko głowa taka nieszczęśliwa, bo i ręka i ramię jak szpilką obrysowane, niemiłe czynią wrażenie, równie jak i ręka mężczyzny, która bardzo podobna do różnobarwnego wypłowiałego kobierca. Jeżeli okno zasłonięte, obraz ten nabiera harmonii, cieniem zasłony nabierając półcieniów, których rzeczywiście nie ma. Ktoby tłumaczyć chciał, że ten obraz, mimo to, że kosztowny, nie jest zupełnie skończony, tenby mi przypomniał owego kosa, którego chciano nauczyć gwizdać: »Lazł kotek na płotek i mruga, ale że nie przekonano go o tem, że ta piękna piosneczka jest też niedługa, więc zwykł w połowie pieśni kończyć fantastycznym kosim wygwizdem. Kto zaś myśli, że ja tym sposo-

bem chcę wygwizdać ten obraz, niechaj jeszcze raz odczyta wyżwspomnione jego zalety. Jestto tylko wskazówką dla owych podróżnych, co tyle prawią o potrzebie postępu w naszym kraju. Bardzo piękne *vis à vis* do obrazu Gerarda, notabene jako dzieło sztuki, stanowi portret papieża, malowany przez Bassana (658). Płyn kolorytu weneckiego okazuje się nietylko w miękko a dokładnie malowanej ręce prawej, opartej o poręcz, ale też i w głowie, która szczególnie uderza swą znamienitością pojedynczych części i całego wyrazu: bystrość oka, brew ściągnięta, usta ściśnione, rzadka broda, nos cokolwiek zwisły, okazuje człowieka, który tłumi w sobie rozmaite namiętności. Rękaw biały, szczególnie na prawej ręce, jest nowym dowodem, z jaką nadzwyczajną prawdą i lekkością Wenecianie malowali bieliznę. Szczególnie w tem celował Tician. Nie chcąc zaś pogardzać wieków następnych malownictwem, przejdźmy do liczby 660, bo ten obraz znamionuje bardzo swój wiek. Wyobraża, ile się zdaje, wzór saski w końcu zeszłego wieku. Osób na nim bardzo wiele zmyślnie ułożonych. W układzie już widać wiek menuetów i ceremonialnej grzeczności, wiek pasterek i miłośnych przenośni w kunszcie. I tu właśnie tło zajmuje malowana miłośna przenośnia, na którę dama wiekowa wskazuje ręką; ma się to ściągać do xiężniczki, która z zachwyceniem czy wdzięcznością patrzy na xiężnę-elektorkę, zapewne obejmując ją jednem ramieniem; tę zaś trzyma menuetowym sposobem lekko za rękę, ile się zdaje, uszczęśliwiony zięć; Alegoria nie dość wyrażona. Klęcząca kobieta zdaje się czynić ofiarę Hymenowi. Silny mężczyzna łamie kosę Saturnowi (czy to nie jest przymówką, że xiążę w całej sile, mimo że nie pierwszej młodości?) obok niego płacze amorek, zmartwiony, że już Hymen nad nim odniósł zwycięstwo. Potem u góry kilka niewyraźnych bogów i równie niewyraźny ciemny posąg, wokoło którego w powietrzu hasają hymenki. Jedna z ambitnych xiężniczek bawi się jakąś dekoracią, a zdaje się jej dobrze przypadać ta zabawka, bo mimo że młodziutka, ma twarz dorosłej panny; tylko dwie najmłodsze osóbki przypominają nieruchomość daguerotypii. Z nadzwyczajną zaś gracią pochwycona postawa młodzieńca, całego czerwono ubranego, równie jak dumnego mężczyzny także w czerwonym stroju. Artysta umiał tyle dzikich kolorów bardzo zgodnie powiązać i w posłuszeństwie umiarkować ich siłę, a mimo to, że nie wykonał dzieło wzorowe, wykonał go za to przyjemnie. Na podobny przedmiot wzorowszem byłoby oddanie, jakie widzimy na małym portreciku przez Stampasta (108) niderlandzkiej szkoły.

(Dokończenie nastąpi.)

Wystawa obrazów malarzów naszych.

(Ciąg dalszy.)

S z w a j g a r t a obrazy celują delikatnością i miękkością pęzla. Alegoryczny obraz l. 53 przedstawia nadzieję naszą, bardzo dobrze oddane znamiona allegoryczne: słońce wstające, król ptaków unoszący się z gałązką wawrzynu nad głową niewiasty, pięknie emaliowany naramiennik, pokazują wyraźnie, co obraz ma znaczyć. Ale twarz niewiasty wcale nieidealna, ani też nadzieję wyraża. Jego kobiet twarze, czy to Ewy, czy Psychy, czy Cyganeczki, wszystkie są okrągłe, pulchne, śmiejące. L. 123. Amor doskonale zrobiony z wdziękiem klęcząc na jednem kolanie, obejmuje kibić (ciężkiej nieco) Psychy tak zgrabnie, że zdaje się, jakby ją chciał podnosić i z nią ulatywać. Najwięcej wyrazu jest w jego obrazach przedstawiających Psychę: rozdającą dary siostrom l. 425, a l. 426 stojącą przed sądem siostr swoich, które z surowością zasiadły na tronie, ona zawstydzona odwraca się i radaby zakryć niestety zanadto jawne przewinienie. Amor uwodziciel płacze na boku. Najwięcej techniki widać w Cygance z wnuczkami l. 122. Dwie nadobne dziewczynki, na których już nie znać rasy Cyganów, siedzą w ciemnej jaskini, babka ich niedawno przyszła z jasnego dnia, nie może ich dostrzedz pomimo latarki, więc wyciąga ku nim rękę, natrafiła na jedną, a druga kryje się z figlów za siostrę. Światło słabe dochodzące otworem jaskini, a drugie z latarki, czynią postacie plastycznemi. Piękne twarze wnuczek wydają się tem milsze przy przeciwieństwie wyschłej czarnej twarzy starej Cyganki.

B r o d o w s k i e g o obraz pod l. 665 przedstawia nabożeństwo Żydów w bożnicy w dzień sądny. Dołem tysiące jarzących świateł rozpędzają noc, która po oknach i po wysokich sklepieniach świątyni czarność swoją rozpościera. Światła te spuszczają jakby paliową jasność na bliskie przedmioty, te zaś rzucają brunatne cienie, i tak w całym kolorycie widać grę blado-jasnych kolorów z ciemno-brunatnemi. Rysunek mistrzowski, w draperiach, cieniach i ugrupowaniach wielka naturalność i piękność. W środku świątyni, między czterma słupami, które wspierają

sklepienie, stoi na wzniesieniu kapłan w białej szacie, postać arcy wspaniała, wzniósł oblicze do góry, jakby z proroczem zachwyceniem, a ręce wyciągnął nad ludem swoim, jakby na niego chciał przelać to błogie uczucie, którem przenikniony. Zgromadzili się przed nim nabożni, widać ich zdala tylko, ale znać dobrze, że i oni są natchnieni. Stosownie uczynił malarz, że na nich i na kapłana największe światło pada; i naturalnie: bo w środku bożnicy najwięcej świeczników i pająków. Całą świątynię w ciżbie zajęły najrozmaitsze postacie z różnemi uczucia stopniami. Po prawej widać płacz, wołania i skargi do Boga, jedni wołając w górę wyciągają ręce, inni je w milczeniu załamują lub niemi twarze zakrywają, inni znowu usiadłszy na ziemi dumają ze spuszczoną głową. Po lewej znowu na przodzie zasiadło przy stoliku trzech uczonych w pismie, jeden zasypia nad xiążką, dwoch zaś z udaną znajomością i gorliwością ciekawie, a każdy inaczej, zaglądają w xięgę. Środkiem świątyni zbliża się ku nam powolnym krokiem, skruchą i wiekiem pochylony starzec, wiodąc chłopczyka za rękę; ten nie rozumie jeszcze nabożnych uczuć ani uniesień, ale zastanawia się nad tem co widzi, paluszek trzymając w ustach. Dla przykładu przytoczyliśmy tych grup kilka, takich jest mnóstwo, a każda grupa, każda nawet pojedyncza postać zdjęta osobno, stanowiłaby cały piękny obraz pełen wyrazu i treści. Dlatego prosimy widzów nieco dłużej zatrzymać się nad tem dziełem jenialnego rodaka. Idea, którą malarz w tym obrazie oddał, jest religia objawiająca się w obrządku (*cultus*) i tegoż potęga i wpływ na ludzi; ci, którzy niedawnoco lichwą i podłem oszukaństwem zatrudnieni byli, w tej chwili, jak gdyby odrodzeni; na żadnym nie znać próżnych zabiegów ziemskich. Przez tego samego malarza widzimy portret pod l. 647. Rysunek, koloryt, pęzel przewyborne. Artysta schwycił z wielką znajomością charakter osoby, i przelał go z wykończeniem na płótno. Na twarzy portretu widoczny typ dyplomatom właściwy, czytamy z niej, że był wysokim urzędnikiem z czasów, jak się zdaje, w. xięstwa lub kongresowej Polski.

Nim przystąpimy do portretów przez innych malarzy robionych, zdaje nam się stosowną rzeczą, usprawiedliwić porządek, czyli raczej nieporządek, do którego w tym przeglądzie przymuszeni jesteśmy. Galerią obrazów stałą przeglądalibyśmy według szkół, wystawę bogatą w mistrzów i rozmaitością gałęzi malarstwa celującą przeglądalibyśmy według przedmiotów w obrazach wyrażonych, lecz naszą na prędce zaimprowizowaną wystawę, w której najwięcej portretów i krajobrazów, do której jeszcze ciągle nowe przybywają, musieliśmy według malarzy przeglądać, a zaczynać od tych, o których wiedzieliśmy, że nic więcej nie nadeszlą. Co do krytyki, chodziło nam więcej o to, aby piękne strony obrazów wykazać, dlatego z dyletantami postąpiliśmy sobie grzecznie, o gorszych malarzach i rysownikach przemilczeliśmy wcale. Starych malarzy, którym nagana już nie pomoże, z lekka tylko dotknęliśmy błędów, śmielej już młodych, na drodze postępu będących.

* * *

Na uwagę zasługują także portrety: Procińskiego l. 667 jego własny. Rysunek dobry, pęzel gładki i lekki, piękny koloryt i wypracowanie staranne, znamionują wielką technikę. Charakter też dobrze oddany, w twarzy widzimy prawdziwie męską piękność i męskie cnoty. Hadziewicza l. 668, Moraczyńskiego l. 450 portrety własne, równają mu co do techniki.

W Zielińskiego portrecie kuratora zakładu Os. Henryka Lubomirskiego, podobieństwo i wyraz dobrze oddane.

Jabłońskiego portretów najwięcej mamy na tegorocznej wystawie, są dobrze trafiane i starannie wypracowane. Najlepszym z jego portretów jest dawnego szlachcica, rękę trzymającego na karabeli l. 691; rysunek i koloryt dobry, każdy fałdzik żupana, każde zagięcie kontusza, z wielką naturalnością oddane; twarz pięknie wykończona, przybrała uroczystą minę przy sukni uroczystej. Portretom Jabłońskiego toby zarzucić można, że chwyta charakter i wyraz z tej chwili, kiedy osoba do malowania siedziała. Czasem się też wkradnie mały usterek w rysunku, szczególniej przy rękach.

Rajchana portrety podobają się kolorytem, lekkością i śmiałością pęzla. Każdy podoba się bardzo na pierwsze wejźrenie, lecz rozpatrzywszy się, widzimy pospiech i niewykończenie, a czasem zbłądzony rysunek lub cień źle oddany; np. w portretach l. 725 i 726 dam w różowej i niebieskiej sukni; u pierwszej cień na lewej twarzy czyni ją wklęsłą i niesymetryczną, na prawem ramieniu chybiony rysunek. U damy w niebieskiej sukni w rękach zupełnie chybiony rysunek, prawa za długa, lewa za cienka. Cień ceglasty na palcach lewej ręki przeszkadza pięknemu kolorytowi. Ze zdaniem tem występujemy wbrew przekonaniu większej części publiczności, dla dowodu więc musieliśmy się w szczegóły zapuścić, jednak wyznać należy, że portrety Rajchana tyle mają zalet, że się usterków nie uwa-

ża, chyba przy dokładniejszem badaniu. *) Jego kompozycia prawdziwie narodowa l. 672 należy do najpierwszych naszej wystawy, mile też zastanawia wszystkich. Dziewica wiejska, napełniwszy konewki u miejskiej studni, z jednej pozwoliła pić wieśniakowi, na drugiej z niewymownym wdziękiem, wsparłszy ręce, zamyśliła się głęboko. Tęsknota za rodzinnem siołem, niewinność i dobroć przebijają się w jej pięknej twarzy. Płochość miasta nie dotknęła jej jeszcze; inna wszakże wzięłaby postawę mężczyzny za hołd należny piękności, ona zdaje się nie zważać, jak wieśniak, złożywszy u jej nóg kapelusz, nie podnosi jak inni, konewki, ale klęka przed nią. W całym obrazie pełno życia, wyrazu i poezii. Rysunek dobry, pęzel niewygładzony, draperie u dziewczyny za ciężkie.

(Dokończenie nastąpi.)

List do redakcii

Mości redaktorze!

Uwagi nad pismem wychodzącem pod moją redakcią umieszczone w 12 numerze dziennika WMCPana otwartością i bezstronnością swoją tyle mnie przejęły dla ich autora szacunkiem, że postanowiłem, już to nie w celu odpowiedzenia na nie, ale końcem oświecenia go a razem i publiczności względem niektórych stosunków Zakładu nauk. im. Ossolińskich dotyczących, prosić WMCPana o umieszczenie w najbliższym numerze dziennika tych kilka słów moich.

Zarzuty, które autor uwag czyni Bibliotece wydawanej przed rokiem 1847, spodziewam się, że upadną same przez się, jak tylko zwrócony zostanie wzgląd na to, iż stosując się do myśli Ossolińskiego, pismo to nie tyle *czasowem* ile *zbiorowem* mieć chciałem, do czego powody we wstępie na czele 1go tomu drukowanym dostatecznie tak przynajmniej sądzę, wyłuszczyłem.

Boleśniej dotknęło mnie obwinienie Dyrekcii przy końcu artykułu umieszczone, jakoby ta przez brak należytego *zajęcia i swiatła* była przyczyną, że Zakład tak ważny, jakim jest Zakład nauk. im. Ossolińskich, jak się autor uwag wyraża, *pełnem nie oddecha życiem i nie odpowiada przeznaczeniu swojemu.*

Nie przeczę autorowi uwag, że dyrektor obdarzony większemi zdolnościami, lepszem zdrowiem, mniej obarczony interesami własnemi jakoteż i Zakładu, mógłby dzielniej odemnie podnieść wpływ Zakładu na umysłowe życie w kraju naszym, ja robiłem i robię co mogę, i gdy to znane jest autorowi uwag, a przynajmniej znanem być może, spodziewam się po dobrej jego wierze, że mi kiedyś sam w tem odda świadectwo. Zdaje się jednak, iż mu to wiadomem nie jest, że o posadę Dyrektora nigdy się nie ubiegałem, że od roku 1835 do 1839 na wszelkie nalegania Xięcia kuratora Zakładu ofiarowaną mi Dyrekcią przyjąć wzbraniałem się, i że w końcu do objęcia jej tem jedynie spowodowany zostałem, iż mnie przekonano, że ta posada w trudnem owczesnem położeniu Zakładu mnie tylko prawie mogła być powierzoną. Wymawiać się dłużej od tak zaszczytnej usługi krajowi, sądziłem, że się z mej strony nie godziło. Sprawozdania roczne z czynności Zakładu, które rad każdemu chcącemu się przekonać udowodnię, poświadczą co przez czas mojego urzędowania w Zakładzie zdziałać potrafiłem, i otwarcie tu pochlubić się mogę, że do świetnego położenia Zakładu, to jest pomnożenia jego naukowych skarbów i rocznych dochodów, które sam autor uwag wymienia, przyczyniłem się nie mało, chociaż zaiste i tu jeszcze cierpliwość lat kilku potrzebna. Nakoniec dla zupełnego zaspokojenia troskliwości autora uwag i to tu dodać mogę, że przed niedawnym czasem pisałem właśnie do Xięcia kuratora prosząc, żeby mnie od posady Dyrektora uwolnił, stręcząc na nią osoby, które za najzdolniejsze uważam.

Zresztą kto już jak ja przeżył większą połowę wieku, nie długo ma czekać na bezstronny osąd czynności swoich, i da Bóg, że z tej przyczyny nikt za mnie wstydzić się nie będzie.

Adam Kłodziński,

Dyrektor Zakładu nauk. im. Ossolińskich.

Koniec rozprawy z mojej strony.*)

Przez grzeczność odpowiadam raz jeszcze autorce z nad Seretu, która jak się zdaje lubi mieć ciągłe odpowiedzi na odpowiedzi: iż ja nie bardzo chętnie ciągnę rozprawę, w którą mnie wciągnięto; gdyż chociażbym może na każdy zarzut i dowcipkowanie, i długo i krótko i może nawet stosownie odpowiedzieć mogła, niemam na to czasu, szczególniej też teraz, gdzie i zielona wiosna gwałtem zaprasza na świeże powietrze i oprócz moich zwykłych za-

*) Osobliwie damy nie mogą oskarzać się na jego portrety, gdyż umie oddać piękność i młodość kobiecą. Wszelkie najdrobniejsze modulacie wklęsłości i wypukłości na twarzy, śmiałym pomiotem pęzla oddaje bardzo plastycznie i harmonijnie. Wielka szkoda, że na portretach zużywa pan Rajchan czas i ten wyborny pęzel, którym utworzył tak piękną na naszą wystawę kompozycią. Lecz jest to skutek stosunków naszych. (p. r.)

*) Jestto u nas pierwszy przykład tak zawziętej kłótni literackiej między kobietami autorkami. W naszem pismie przeznaczonem głównie dla kobiet słuszna więc aby sprawę przeprowadzić do końca. (p. r.)

trudnień domowych, woła mnie inna praca do stolika, na którym dawniej zaczęte przedmioty czekają wykończenia.

Trudno więc aby się dalej ciągnęła sprzeczka literacka, którą autorka z nad Seretu obiecuje prenumeratorom dziennika;*) gdyż ja już odpowiadać nie będę, chociażbym najbardziej pociągające do sprzeczki odebrała wezwanie: raz, iż nie bardzo sprzeczać się lubię, powtóre, iż lękam się, abyśmy łaskawym czytelnikom i czytelniczkom dziennika niesprawiły bankietu z tej sprzeczki literackiej, chociaż dajmy na to, przyprawionego i pieprzem i cukrem, lecz za nadto długiego, a zatem nudnego.

Odpowiadam więc w krótkości; iż ani się oburzałam, ani za poniżenie nieuważałam dla kobiety, aby dla samych tylko pisała kobiet, jeźli jej się tak podoba. Oburzać się na to, byłoby to wpaść w drugą excentryczność, również dziwną jak owa zasada, aby kobieta pisała koniecznie tylko dla kobiet.

Ja zawsze uważam piśmiennictwo własnością ogółu, z pod czyjegokolwiek wyjdzie pióra. A czytająca publiczność wybiera sobie zapewne dzieła; nie podług przesądów, kast, koterij i płci, lecz podług własnego gustu, usposobienia umysłu, albo też polecenia osoby, której zdanie szacuje.

Wszakże w najświeższej powieści, którę teraz czytamy w dzienniku, są obrazy z różnych stanów wzięte, w których zarówno kobieta, jak i mężczyzna może ujrzyć wytknięte swoje wady i przymioty, a zatem autor miał ogół na uwadze. Czemuż też zaś dla samych tylko mężczyzn nie pisał?.... bo kiedy się już dzielić, to dzielić zupełnie. Wszakże podług zasady nieprzyjętej odemnie, powinnienby prawem odwetu wypaść wniosek, aby kobiety pisały wyłącznie dla kobiet, mężczyzni dla mężczyzn, wtedy mielibyśmy literaturę męską i żeńską, a na czele żeńskiej będzie stała autorka odpowiedzi z nad Seretu, jeźli kto pójdzie pod jej sztandar, lecz ja nie myślę.

Co większa, tak dalece jestem za piśmiennictwem dla ogółu, iż nie znajduję nawet nic a nic poniżającem pisać dla półgłówków; bo dla kogoż też więcej potrzeba nauk, przykładów, rad, jeźli nie dla nich?.... Niebyłoby to nietylko poniżające, ale nawet zaszczytne zadanie, formować przez pisma z półgłówków całe głowy. A chociaż nikt sobie przyznać otwarcie nie pozwoli, aby mu jeszcze czegoś do całkiem uformowanej głowy nie brakowało, jednakże przez czytanie i najświatlejśi mężowie nabywają zawsze jakiejś nowej wiadomości, a zatem uzupełniają swoje umysłowe wykształcenie.

I jeżeli jest zaszczytnie i zapewnie nie łatwo napisać mądry foliał przystępny dla kilku głów w królestwie, może większą zasługą pisać dla głów lekkich zbyt ostrym wyrazem półgłówków oznaczonych, dla których najuczeńśi mężowie hańbić się nie mogą pisząc, gdyż nie tylko sam rozsądek każe dla nieumiejętnych lub skażonych złemi obyczajami pisać, lecz nawet Ewanielia święta powiada: iż ze stu dusz, milsza Bogu jedna nawrócona, jak dziewięćdziesiąt dziewięć prawych. Jakżeby więc dla autora lub autorki, nie miało być przyjemniej nawrócić dziewięćdziesiąt dziewięć głów lekkich, gdyby taka ich liczba na setkę ludności wypadła, jak przyczynić do jednej głowy już i tak ciężkiej mądrością, jednego naukowego promienia?.... A zatem piszmy i dla półgłówków, gdyby tylko czytać i korzystać chcieli, a publiczność osądzi bezstronnie, kto co lepiej napisał, i odda sprawiedliwość, nie wchodząc dla kogo i przez kogo pisane, skoro przedmiot dobrze wyrobiony.

Dziwi mnie jednak objawiająca się sprzeczność w charakterze autorki z nad Seretu, która tak bardzo nie lubi półgłówków, iż pisać dla nich sądziła by się shańbioną, a proteguje przecież zawzięcie półgłówka Kremontowskiego, i potępia Klementynę, iż się nad nim zemściła; zapewne dowodzi to dobroci serca, lecz niepewności w zasadach. Ja jak niemiałam, tak dotąd niemam za złe Klementynie, że się zemściła nad nim; owszem pochwalam jej to, iż podała mu w odwet przed całym światem łyżeczkę gorżkiej ironii, którą on tak ją długo częstował. Okrucieństwa żadnego w jej postępowaniu nie widzę, gdyż człowiek pozbawiony całkiem delikatnych uczuć, nieumiejący ich w nikim cenić, nie był nawet w stanie uczuć boleści odwetu, i przyjął go swoim sposobem. On nie myślał wtedy o Klementynie, on ją tylko uważał jako środek wyratowania się ze swego upadku, i byłby, podniosłszy się na nowo na skrzydłach jej łagodności w świat płochego użycia, drwił z niej i hańbił ją jak pierwej, przypisując uzyskane dla siebie względy, nie jej dobroci, lecz słabości umysłu, lub wyższości swojej nad nią, i nieocenionej zręczności postępowania wszystkich półgłówków na swoję korzyść z tkliwemi sercami nierozsądnych kobiet.

Dobrze zrobiła! bardzo dobrze zrobiła.

Mój zaś nielogiczny dowód podług zdania autorki odpowiedzi sądzę, że był logiczny; a to z po-

*) Autorka z nad Seretu dalszą literacką sprzeczką, nazywa jedynie odpowiedź swoję; niejestto więc ani wezwanie ani obiecywanie dalszej sprzeczki. (p. r.)

wodu, iż wszystko co nas nie zadziwia i nie uderza nadzwyczajnością, musi się odbywać zwyczajnym i możliwym sposobem; lecz wnioskowanie, iż równa logiczność zachodzi w przytoczeniu niepojęcia położenia w jakim się znajdowała Klementyna, jak w pojęciu go, jest mylne; gdyż postępek Klementyny nie był fałszywym dźwiękiem w jej charakterze, jak mniema autorka z nad Seretu, lecz owszem zupełnie naturalną wynikłością w rozstrojonej harmonii uczuć, tak polskiej, jak nie polskiej dziewicy.

Maria z Ch. P.

TEATR.

Przed kilku, a podobno przed kilkunastu nawet laty, napisał Józef Korzeniowski trajedią: Zakład sumienny. Sztuka ta z rozmaitych powodów spoczywała w rękopiśmie, a podobno i sam autor nie życzył sobie poźniej przedstawiania, gdyż tymczasem inny zupełnie kierunek wziął duch jego, zwrócił się ku przedmiotom narodowym, ku spokojniejszemu zapatrywaniu się na świat. Jak we wszystkich dawniejszych z tej epoki dramatach Korzeniowskiego, tak i w tej trajedii stosunek żony do męża stanowi treść główną. Silne przekonanie moralne, iż na świętości tego stosunku polega byt całego społeczeństwa, zwracało ku temu przedmiotowi umysł pisarza. Gdy wszystkie odcienia tego stosunku wyczerpnął już prawie, zwrócił się w inną stronę. W granej na tutejszym teatrze trajedii, przedstawia kobietę, która poszedłszy za mąż, schodzi się niespodzianie z mężczyzną, którego pierwszą była pokochała miłością. Dawne uczucie budzi się napowrót. Lecz trzeba było wszelkich sztuk podstępnych ze strony drugiego Lowelasa, aby w tej walce moralnej przyszła do upadku. Silne przekonanie o świętości związków ślubnych i demoniczne odzywanie się przytłumianego ciągle uczucia pierwszej miłości, stanowi główną osnowę. Aby módz śmielej dać się rozwinąć namiętnościom, przeniosł pisarz scenę działania z początku na widownią ruchawszą do Paryża, a poźniej pod namiętny, gorący klimat Egiptu. Burzliwe zaś zakończenie namiętnego dramatu najstosowniej odbywa się na morzu, jako na najburzliwszym żywiole. Tak co przeniesione w nasze stosunki wydałoby się przesadą i nieprawdą, pod inną strefą staje się rzeczywiste. Jestto jeden z najlepszych dramatów Korzeniowskiego, a chociaż wieje w nim duch francuskiej szkoły, a śmiałe i namiętne położenia często przychodzą, jednakowo ogromna potęga moralna pisarza żelazną ręką powstrzymuje każdą myśl dwuznaczną. We wszystkich poźniejszych narodowych dramatach Korzeniowskiego nie ma już tej rzutkiej siły, tej śmiałości pomysłów, usiłującej przełamać szranki zakreślone. Jak więzień po długim pobycie w kaźni, podoba sobie nareszcie w swojej celi, ustraja ją w szaty fantazii i zamienia w swój świat całkowity, poza te kraty więzienia ani na myśl mu przyjdzie sięgnąć, tak czyni dziś Muza tego pisarza. Wszystkie jego nowsze utwory są ładne, poetyczne, ale też są i drobne, nieśmiałe; atmosfera więzienia w nich wieje.

Rozmaitość.

Powiadają o ostatnim wojewodzie pomorskim, iż przebywając rzekę Tanew po lodzie, załamał się i był w niebezpieczeństwie, ale wyratowany. Na podziękowanie Bogu za ocalenie swoje, miał wystawić pomnik z napisem:

Jak wielkie miłosierdzie pańskie, pan wie,
Że go ratował z Tanwi;
A że pan pana od śmierci wybawił,
Za to pan panu ten pomnik postawił.

Skromniejszy Lasocki, kasztelan Sochaczewski, na ścianie wybudowanego przez siebie kościoła kazał odmalować siebie pokornie klęczącego i podpisać:

Nie śmiem na ciebie spojrzyć z publikanem,
Choć jestem Sochaczewskim kasztelanem.

Smak wyższy w stylu, ale równa próżność podyktowała napis na kościele w Fernej: „Wolter postawił Bogu.“

Sprostowanie: W przeszłym numerze w poezii: *I kiedyż?* nie we wszystkich egzemplarzach odbił się wyraźnie w druku wiersz 16. str. 18: *Uwodzi nas.*

Do tego numeru dołączone są na osobnym arkuszu wzory krojów mantyli, kapeluszów i innych robot damskich najświeższej mody.

☞ Redakcia uwiadamia, że zamówień na kończące się z tym numerem pierwsze półrocze dziennika mód przyjmować nie może, gdyż zapas exemplarzów już wyczerpnięty. Jedynie można na drugie półrocze poczynające się od 1go lipca, prenumerować.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.